

*Pierwsze miejsce na mojej liście książek,
które koniecznie muszę przeczytać w tym roku!*

Stephen King

DOM STU SZEPTÓW

Czy w tych
starych murach
gnieździ się zło?

Czy to
tylko wytwór
ludzkiego umysłu?

GRAHAM MASTERTON

ALBATROS

Tytuł oryginału:
A HOUSE OF A HUNDRED WHISPERS

Copyright © Graham Masterton 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2021

Redakcja: Joanna Popiołek

Zdjęcie na okładce: Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Head of Zeus Publishing House

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Herbert dotarł do schodów na piętrze i usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Z dłonią na poręczy przystanął i uważnie nasłuchiwał. Przez romboidalne szybki okna księżyc w pełni świecił tak jasno, że Herbert nie musiał nawet zapalać światła w korytarzu.

– Kto tam jest? – spytał.

Starął się, aby zabrzmiało to stanowczo, ale serce łomotało mu w piersi i z trudem łapał oddech. Po czterdziestu dwóch latach przywykł do stęchłej woni starego dębowego drewna, wiecznie obecnej w Allhallows Hall, lecz w tej chwili czuł ją silniej niż zwykle, jakby dom się pocił w niecierpliwym wyczekiwaniu.

Za plecami Herberta zatrzeszczała deska w podłodze; odwrócił się, lecz nie zauważył niczego poza ciemnymi olejnymi portretami rodziny Wilmingtonów, spoglądającymi na niego złowrogo spod orzechowej warstwy czterystuletniego werniksu.

Nie zamierzał tu wracać, przynajmniej nie po zmierzchu. W czasie pełni opuszczał Allhallows Hall na trzy dni i nocował w hotelu Marine w Paignton. Tym razem jednak zapomniał zabrać ze sobą księgę rachunkową, a miał już

dwutygodniowe opóźnienie w zgłoszeniu formularza o zwrot podatku.

Odczekał jeszcze całą minutę. Słyszał tylko odgłos wiatru gwiżdżącego smutno w kominach, lecz mieszkał w Dartmoor tak długo, że te nieustanne przeciągi nie robiły na nim wrażenia.

– Ech – mruknął. – Kimkolwiek jesteś, żaloszny potępieńcze, życzę ci miłego weekendu.

Zszedł o jeden stopień i w tym samym momencie usłyszał za sobą tupot biegnących nóg. Zanim zdążył się ponownie odwrócić, poczuł uderzenie, jakby młotem, w łysiejący tył głowy. Runął do przodu i wymachując w powietrzu rękami i nogami, stoczył się ze schodów w tumanie rachunków, kwitów i biletów kolejowych.

Na podeście półpiętra wpadł na drewnianą ścianę i grzmotnął barkiem i lewą stroną czoła o listwę przypodłogową. Oszołomiony i zdezorientowany, próbował się podźwignąć na kolana, lecz stracił równowagę, przechylił się na bok i poleciał dalej w dół. Koziołkując, poczuł i usłyszał trzask pękającego kręgosłupa. Wylądował w holu z policzkiem na wytartym chodniku i leżał, wpatrując się w spłowiały żółty kwiat lotosu. Serce biło mu coraz wolniej i wolniej.

Na schodach rozległy się powolne kroki, kopnięte rachunki Herberta wzbily się w powietrze i pofrunęły na wszystkie strony niczym wyschłe liście. Na półpiętrze zjawiała się postać, której kontury odcinały się na tle okien. Gdyby Herbert, spadając, nie skręcił karku i mógł spojrzeć w górę, rozpoznałby tę postać po włosach, wygolonych po bokach i postawionych w ostry grzebień niczym lśniąca płetwa rekina.

Postać przez całą minutę patrzyła z góry na leżącego Herberta, jakby nie miała ochoty zejść na dół, aby sprawdzić mu puls, lecz chciała się upewnić, że już się więcej nie

podniesie.

Po dłuższej chwili wróciła na górę. Gdyby Herbert był jeszcze przytomny, usłyszałby trzeszczące deski podłogi na piętrze, a następnie dalekie, ciche kliknięcie zamykanych drzwi do sypialni.

Rozdział 2

Rob siedział przed komputerem, marszcząc w skupieniu czoło, kiedy zaterkotał telefon.

- Vicky! – zawołał. – Możesz odebrać?
- Jestem w samym środku pieczenia kielbasek dla Timmy’ego!
- A ja w samym środku animacji! Nie mogę jej zostawić nawet na moment!

Vicky nie odpowiedziała, a telefon dzwonił dalej, aż w końcu Rob usłyszał, jak żona wychodzi z kuchni do holu. Po kilku sekundach dobiegły go niewyraźne słowa:

- Naprawdę? Rozumiem. – Potem nastąpiła dłuższa przerwa. – Tak. Dobrze, przekażę mu – odezwała się w końcu.

- Mamusiu! – jęczał Timmy. – Jestem głodny!
 - W tej chwili nie mogę, Timmy – powiedziała Vicky.
- Weszła do jadalni, którą Rob wykorzystywał jako swój gabinet. Nie podniósł głowy, ponieważ rysował właśnie kobietę wyprowadzającą na spacer psa na obsadzonej drzewami ulicy.

- Kto dzwonił? – spytał. – Psiakrew!
- Zdekoncentrował się i rozsmarował mu się ogon psa.

- Margaret Walsh z Makepeace and Trott.
- To prawnicy mojego taty. Czego chciała? Cholera!
- Twój tata nie żyje.

Przez dłuższą chwilę Rob nie odrywał oczu od ekranu. Potem opadł na oparcie krzesła i odwrócił się.

- Nie żyje?
- Zameldował się w hotelu Marine w Paignton, tak powiedziała, ale się nie pokazał. Nie odbierał telefonu, ani stacjonarnego, ani komórki. W końcu zadzwonili do więzienia, ale pracownicy stamtąd też nie mogli go złapać, więc wysłali do niego dwóch ludzi. Przed wejściem do domu stał jego samochód, a drzwi frontowe były otwarte. Znaleźli go leżącego na podłodze u stóp schodów.

Rob odwrócił się i wyłączył komputer. Będzie musiał zacząć tę animację od początku, ale był zbyt wstrząśnięty, żeby pracować dalej.

Nieraz się zastanawiał, jak zareaguje na wieść o śmierci ojca. Niekiedy sądził, że poczuje ulgę, nawet radość. Herbert Russell był samolubnym, porywczym i nieczułym służbistą. Lecz żeby oddać mu sprawiedliwość, należy zauważyć, że zdarzały mu się akty niespodziewanej wielkoduszności – rozdawał swoim pracownikom kosze z prezentami na Boże Narodzenie, przekazywał pieniądze miejscowym organizacjom charytatywnym. Rob zawsze jednak podejrzewał, że ojciec próbuje w ten sposób przekonać rodzinę i podwładnych, że jego despotyczny sposób bycia jest dla nich dobrodziejstwem i że pewnego dnia mu za to podziękują. Albo chciał się upewnić, że nie zaprzepaści swoich szans na przyjęcie do nieba.

- Powiedzieli ci, gdzie teraz jest?
- Zawieziono go do szpitala Derriford w Plymouth na sekcję zwłok, bo to nagła śmierć i tak dalej. Policja bada sprawę. Uważają, że ktoś mógł się włamać do domu i go

napaść.

– Naprawdę? No cóż, miał sporo wrogów. Każdy by miał, gdyby pracował jako naczelnik więzienia. Zwłaszcza taki naczelnik jak on.

Vicky podeszła do męża i pogładziła go po kasztanowych włosach.

– Nie jesteś przygnębiony? Nawet troszeczkę? Mimo wszystko był twoim ojcem.

Rob wziął ją za rękę.

– Jedyną przygnębiającą rzeczą w tym wszystkim jest wspomnienie, jaka nieszczęśliwa była przy nim mama. No i trzeba zorganizować pogrzeb. A to znaczy, że będziemy musieli się spotkać z Martinem i Katharine, Boże, miej nas w swojej opiece. No i z Grace. Nie mam nic przeciwko Grace, o ile nie przywiezie ze sobą tej koszarnej Portii.

Zapatrzył się w czarny monitor komputera. Na ekranie zobaczył swojego ducha, który znacznie bardziej przypominał jego mamę niż ojca. Zaledwie tydzień temu świętował trzydzieste dziewiąte urodziny, ale mógłby uchodzić za mężczyznę dziesięć lat młodszego. Vicky powiedziała kiedyś, że zakochała się w nim, ponieważ z ciemnymi lokami i nieco ciężkimi, opadającymi powiekami przypominał jej lorda Byrona. On z kolei zakochał się w jej uduchowionych fiołkowych tęczówkach, rozmarzonej bladej twarzy i jasnych warkoczach; uwielbiał też, jak snuła się po mieszkaniu w powłóczyстых sukienkach do kostek niczym modelka prerafaelickiego artysty, chociaż jej osobowość nie miała w sobie nic uduchowionego ani powłóczystego.

– Czy Margaret Walsh mówiła coś na temat pochówku? Czy tata życzył sobie pogrzebu w trumnie czy kremacji?

– Nic na ten temat nie powiedziała.

– W takim razie będę musiał zaczekać, prawda?

– Na co?

– Na to, czy mogę zatańczyć na jego grobie, czy będę musiał spuścić jego prochy w toalecie.

– Rob, dobrze wiesz, że wcale nie jesteś taki mściwy.

– Właściwie masz rację. Nie jestem mściwy. Jeśli jest coś, czego się nauczyłem od taty, to tego, jak być uprzejmym. Jeden uśmiech może zdziałać więcej niż tysiąc krzyków.

– Mamusiu! – zawołał Timmy.

Rozdział 3

Kiedy dojechali do Sampford Spiney, w powietrzu wisiała mgła, ta przenikliwie zimna mgła Dartmoor, która zwykle utrzymuje się aż do południa, a nawet wtedy ociąga się jeszcze w zagłębieniach i wąskich kanałach wykopanych na wrzosowiskach, by doprowadzać wodę do kuźni, gospodarstw i domów, takich jak Allhallows Hall.

– W tym miejscu zawsze przechodzą mnie ciarki – powiedziała Vicky, kiedy zza drzew wyłoniła się kwadratowa wieża kościoła Świętej Marii. – W okolicy nigdy nie widać żywej duszy, poza tym jest tu tak szaro.

Przez ostatnie osiem kilometrów jechali jednopasmową drogą biegnącą między wysokimi ścianami granitu, które zawsze wywoływały u Roba klaustrofobiczne odczucia. Klaustrofobia się pogłębiała, kiedy wjeżdżał przez bramę Allhallows Hall i jego oczom ukazywała się posiadłość, w której się wychował. Po opuszczeniu domu i rozpoczęciu studiów w Worthing College of Art przyjechał tu tylko raz – dwa lata temu, kiedy jego mama umierała na raka. W tym czasie ojciec rzadko bywał w domu, a nawet kiedy się pojawiał, nie wykazywał zbytniego zainteresowania życiem ani karierą syna.

– Przechodzą cię ciarki? – powiedział Rob. – Dzięki,

Martin, ja też cię kocham.

Przed domem, prawie w poprzek podjazdu, stał zaparkowany samochód jego brata Martina – range rover w kolorze mosiądzu, więc Rob musiał wcisnąć swoją hondę pod samym murem domu, tak że ledwo mógł otworzyć drzwi. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Timmy już się obudził. Syn przespał w foteliku całą drogę od Exeter.

– Timmy? Timmy, jesteśmy na miejscu!

Chłopiec otworzył oczy, ziewnął i ze zmarszczonym czołem spojrzał przez okno.

– O, jesteśmy u dziadka! A mówiłeś, że dziadek nie żyje!

– Bo tak jest, ale musieliśmy tu przyjechać, żeby postanowić, co zrobimy z domem.

– Chyba tu nie zamieszkamy?

– Nie – odpowiedziała Vicky, zanim Rob zdążył się odezwać. – Z całą pewnością tu nie zamieszkamy.

– No cóż, jeszcze zobaczymy – rzucił Rob.

– Co to ma znaczyć: jeszcze zobaczymy? Jeśli myślisz, że zamierzam mieszkać na końcu świata, otoczona stadami beczących owiec, to się grubo mylisz.

Wysiedli z samochodu. We mgle Allhallows Hall wyglądał jeszcze bardziej złowieszczo niż zwykle. Z podjazdu na brukowany dziedziniec prowadziła kamienna sklepiona brama. Na środku dziedzińca stała fontanna z pozbawionym głowy cherubinem, pokrytym grubą warstwą czarnego mchu, a wzdłuż muru ciągnął się rząd wielkich ołowianych donic, gęsto zarośniętych suchą trawą i zwiędłymi chwastami.

– Myślałam, że miał ogrodników – odezwała się Vicky.

– Kiedy był naczelnikiem, mógł zatrudniać więźniów do pracy wokół domu i nie musiał im płacić. Kiedy przeszedł na emeryturę, zostawił wszystko, żeby leżało odłogiem.

Główny budynek został wzniesiony w 1567 roku z miejscowego granitu, miał dach z łupku, a wszystko pokrywał

gąszcz rdzawoczerwonego bluszczu. W siedemnastym i dziewiętnastym wieku dobudowano dwie granitowe stodoły, co nadało dziedzińcowi jeszcze bardziej zamknięty wygląd. Rob podniósł wzrok na okno swojej dawnej sypialni. Sprawiało wrażenie mniejszego, ciemniejszego i bardziej tajemniczego, niż pamiętał. Miewał kiedyś koszmary, że pod jego łóżkiem śpi inny chłopiec, i teraz zastanawiał się, czy ten chłopiec nadal tam jest.

– Chce mi się pić – powiedział Timmy.

– Timmy, na miłość boską, ciągle coś ci jest! Jak nie chce ci się pić, to jeść. Jak nie jesteś głodny, to zmęczony. Jak nie jesteś zmęczony, to ci się nudzi.

– Och, zostaw biedaka w spokoju – wtrąciła się Vicky. – Dobrze, skarbie, zaraz ci coś znajdziemy. Dziadek na pewno miał w domu coś, co się nadaje do picia.

– Poza szkocką? – mruknął Rob. – Szczerze wątpię.

Kiedy podeszli do ganku, dębowe drzwi się otworzyły i stanął w nich Martin, a tuż za nim jego żona Katharine.

– Aha! Więc jednak przypomniałeś sobie, gdzie stoi stare domiszcz! – zadudnił Martin.

Był kilka centymetrów wyższy od Roba i potężniejszy, miał kręcone włosy, przedwcześnie posiwiałe jak na czterdziestoczworoletniego mężczyznę, policzki czerstwe i rumiane jak ojciec i takie same jasne, cytrynowe oczy. Na przyjazd tutaj włożył bordowy sweter w warkocze; wyglądał w nim jak mieszczuch, który uważa, że tak się ubierają ludzie na wsi.

Katharine była drobną, chudą farbowaną blondynką z włosami obciętymi na boba, z przodu dłuższymi, z tyłu krótszymi. Można by ją uznać za ładną, gdyby nie wiecznie skwaszony wyraz twarzy i surowo ściągnięte usta. Miała na sobie beżowy zapinany sweter Burberry, który, jak się domyślała Vicky, musiał kosztować co najmniej siedemset

funtów.

– Nie, zupełnie zapomniałem – odparł Rob. – Po to mamy nawigację, prawda? Żeby człowiek nie musiał pamiętać, gdzie spędził nieszczęśliwe dzieciństwo.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że uwaga Martina była uszczypliwym komentarzem do tego, że nie odwiedził ojca w Sampford Spiney ani razu od pogrzebu matki.

Martin wyszedł i niezręcznie uściskał brata. Bił od niego cierpki zapach dymu z kominka i drogiej wody po goleniu.

– Jak tam nasz rodzinny artycha? Zarobiłeś już jakieś pieniądze?

– Kilka groszy tu i tam. Robię animacje dla Aardmana i tańczące leprechauny dla Tourism Ireland. A jak tam życie w wielkim mieście?

– Rzekłbym, że nieprzyzwoicie dochodowe, ale to byłoby łagodnie powiedziane.

Katharine i Vicky wymieniły tylko powściągliwe, grzeczne uśmiechy.

– Wejdziemy do środka? – spytała Vicky. – Okropnie tu zimno, a Timmy’emu chce się pić.

– Ależ naturalnie, wchodźcie. Właśnie napaliłem w salonie. Prawniczka taty, jak jej tam... powinna być za jakieś pół godziny. A Gracey powiedziała, że przyjedzie koło jedenastej. Złapie taksówkę z Tiverton.

Weszli do holu. Dębowa boazeria na ścianach była prawie czekoladowego koloru, na granitowej podłodze leżał wytarty czerwony chodnik; to na niego patrzył Herbert Russell, kiedy jego serce przestawało bić.

Martin podszedł do schodów.

– Zdaje się, że znaleźli go w tym miejscu. Miał wgniecenie w czaszce, ale nie wiedzą jeszcze, jak to się stało. Może napadł go złodziej, a może walnął głową o poręcz, kiedy spadał ze schodów.

- Martin – upomniwała go Vicky. – Nie przy Timmym.
- O, Timmy na pewno słyszał już gorsze rzeczy, prawda, stary? Grasz w *Fortnite*?
- Martin, on ma dopiero pięć lat. Na razie poprzestaje na *Super Mario*.

Martin zaprowadził ich do salonu. Panował tu wieczny półmrok, ponieważ okna z szybkami w kształcie rombów przepuszczały mało światła. Większość mebli z brokatową tapicerką i spiralnie toczonymi nogami pochodziła z siedemnastego wieku, a przy kominku stał fotel uszak, w którym zwykle przesiadywał ojciec. Ich mama Florence nazywała go „tronem Herberta”. Kominek był olbrzymim granitowy most, z wielkim rusztem z kutego żelaza, na którym zmieściłoby się okazałych rozmiarów prosię. Martin ułożył na nim trzy jesionowe polana, pod którymi głośno trzaskała rozpałka.

Rob rozejrzał się po pokoju. Na ścianach wisiały te same malowidła – ponure krajobrazy z zachmurzonym niebem, przedstawiające Dartmoor i Walkham Valley. Jedno z nich zawsze budziło u Roba bardzo nieprzyjemne odczucia. W środku ciemnego zagajnika stało dwadzieścia lub trzydzieści postaci, wszystkie w białych szatach ze spiczastymi kapturami, jakby zebrały się na jakąś pogańską mszę i czekały na nadejście Szatana.

– Zobaczmy, czy w kuchni znajdzie się coś do picia – powiedziała Vicky i wyprowadziła Timmy’ego przez drzwi po lewej stronie kominka.

Martin, energicznie zacierając ręce, zasiadł na tronie Herberta, a Katharine niczym pustułka przycupnęła na podłokietniku fotela.

Po drugiej stronie kominka Rob z lekkim roztargnieniem obserwował tłącą się rozpałkę. Obiecał sobie, że nie da się Martinowi wyprowadzić z równowagi, ale nie było to proste.

Wszystko, co brat mówił i robił, działało mu na nerwy, nawet to, że zakładając nogę na nogę, odsłaniał żółte skarpetki.

– Trochę za wcześnie na drinka – stwierdził Martin. – Ale potem możemy wpaść do Royal Oak w Meavy, jeśli macie ochotę.

– Najpierw załatwmy sprawę domu, dobrze? Jak myślisz, ile warte jest teraz Allhallows?

– Och, myślę, że niewiele więcej niż półtora miliona. Oczywiście przy założeniu, że wystawimy go na sprzedaż. Tata nie dostał zgody na modernizację. Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: to kompletne zadupie.

– Czemu mielibyśmy nie wystawić go na sprzedaż?

– Po pierwsze, któreś z nas może chcieć tu zamieszkać.

– Ja i Vicky na pewno nie. I nie mów mi, że wy bierzecie to pod uwagę. Nie dalibyście rady dojeżdżać stąd do Londynu, a Petulia nadal chodzi do szkoły w Tormead, prawda?

– Może Grace by chciała. Kto wie?

– Czemu Grace miałaby chcieć mieszkać w domu z ośmioma sypialniami i półtorahektarowym terenem do utrzymania? A ona i Portia raczej nie będą mieć dzieci.

– Mogą adoptować. Wiele homoseksualnych par tak robi.

– Martin, zejdź na ziemię. Adoptują siedmioro dzieci? Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby Portia chciała rzucić pracę... nie pamiętam, kim ona tam jest. Führerem do spraw równouprawnienia płci w radzie Islington, coś w tym rodzaju.

– Mimo wszystko szkoda byłoby go sprzedać. Takie zabytkowe domy są zawsze dobrą lokatą. Moglibyśmy go wynajmować.

– Bardzo możliwe. Tylko że utrzymanie go kosztowałoby prawdopodobnie więcej niż jakikolwiek zysk z wynajmu. Musielibyśmy zamontować alarm przeciwpożarowy, ogniodoporne drzwi i Bóg wie co jeszcze. A nie wyobrażam

sobie, kto, na miłość boską, mógłby go chcieć wynająć.

Do salonu wróciła Vicky.

– Znalazłam dla Timmy’ego tonik w lodówce. Poszedł teraz zwiedzać dom.

– Martin uważa, że Allhallows jest warte ponad półtora miliona – oznajmił Rob.

– Tylko tyle? No cóż, chyba i tak nie możecie narzekać. Dostaniecie po pięćset tysięcy na głowę.

– Chwileczkę, poczekajcie, jeszcze nie widzieliśmy testamentu taty – wtrącił Martin.

– Na pewno podzielił majątek równo między waszą trójkę.

– Tego jeszcze nie wiemy, prawda? Gracey zawsze była jego oczkiem w głowie.

Rob chciał powiedzieć, że owszem, Herbert zawsze bardzo hołubił Grace, ale nie ukrywał też, że przedkładał Martina nad Roba. Może dlatego, że Martin odziedziczył jego byczą posturę i wybrał coś, co ojciec uważał za „praktyczny zawód”: karierę na rynku finansów. Okazywał niewiele zrozumienia dla sztuki, a rysunki i obrazy Roba zbywał jako „gryzmoły i bazgraninę”. „Nawet van Gogh był za życia nędzarzem”.

Jednak Rob zawsze kojarzył to faworyzowanie Martina z zażartą kłótnią, którą podsłuchał z okna swojego pokoju, kiedy miał trzynaście lat. Ojciec krzyczał na mamę: „No jasne, że nie jest do mnie podobny! I oboje wiemy dlaczego!”.

Nigdy nie ośmielił się zapytać mamy, co ojciec miał na myśli.

Rozdział 4

Grace i Portia przyjechały wkrótce po jedenastej. Martin otworzył im drzwi i pomógł wnieść torbę podróżną, po czym zaprowadził je do salonu. Rob od razu odniósł wrażenie, że kobiety się kłóciły. Portia zwykle trzymała Grace za rękę albo obejmowała ją w talii i ścisnęła czule, ale i zaborczo – kocham ją i jej miejsce jest przy mnie.

– Jak minęła podróż? – spytała Katharine z poręczy tronu Herberta.

– Cholernie beznadziejna, szczerze mówiąc – odparła Portia. – Jakiś idiota postanowił rzucić się pod pociąg w Tisbury i stałyśmy tam ponad godzinę. Nie mam pojęcia, czemu nie zbudują jakiegoś bocznego toru dla samobójców, żeby nie utrudniali nam życia.

– Za chwilę będzie tu prawniczka taty – oznajmił Martin. – Pytałem ją o organizację pogrzebu, ale powiedziała, że nie wydadzą zwłok, dopóki nie skończą sekcji, a to zajmie jeszcze trzy albo cztery dni.

– Chyba możemy zamówić mszę pogrzebową tutaj, w kościele Świętej Marii – powiedziała Grace. – Wiem, że tata nie był zbyt wierzący, ale kościół stoi niedaleko więzienia, więc jeśli ktoś z jego dawnych pracowników zechce go pożegnać...

– Niezbyt wierzący? – prychnął Rob. – Też coś! To eufemizm stulecia. Jedynym bogiem, jakiego czcił, był on sam!

– No nie wiem – wtrącił się Martin. – Kiedy ostatnio u niego byłem, sprawiał wrażenie, jakby się czymś truł. Zapytał mnie, czy uważam, że wiódł dobre życie.

– Chcesz powiedzieć, że się martwił, czy nie pójdzie do piekła? Owszem, ja też odniosłem takie wrażenie raz czy dwa.

– Jest jakaś szansa na herbatę? – spytała Grace.

Vicky podeszła, uściskała ją i pocałowała w policzek.

– Oczywiście. Co u ciebie? Nie widziałyśmy się od wystawy Leonarda.

– Byłyśmy zajęte urządzaniem mieszkania – powiedziała szorstko Portia. – Dopiero co zaczęłyśmy, mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Innymi słowy, pomyślała Vicky, nie spodziewajcie się zobaczyć nas zbyt szybko również w przyszłości.

Podobnie jak Rob, Grace bardzo przypominała matkę, lecz w przeciwieństwie do niego miała w sobie również coś z ojca – wysoka, postawna, z miedzianymi włosami, zielonymi kocimi oczami i nieco kwadratową szczęką. Nosila oliwkową kangurkę z kołnierzem ze sztucznego futra. Vicky wyobrażała ją sobie na czele armii szkockich rebeliantów: we wspaniałym żelaznym napierśniku, wywijającą wielkim dwuręcznym mieczem. W rzeczywistości była łagodna, wrażliwa i nieśmiała.

Portia była ubrana w brązową skórzaną kurtkę, czarne legginsy i brązowe skórzane buty. Smukła i bardzo ładna, z dużymi orzechowymi oczami, zadartym małym nosem oraz postrzępioną fryzurą, nie pozostawiała wątpliwości, kto jest dominującą partnerką w ich związku. Rob i Vicky z doświadczenia wiedzieli, że jeśli chcą zaprosić do siebie

Grace i Portię lub choćby dowiedzieć się, co chciałyby dostać na Gwiazdkę, muszą się zwrócić do Portii.

– Pomogę ci – powiedziała Grace, kiedy Vicky ruszyła w stronę kuchni. – Czy ktoś jeszcze chce herbaty?

Zanim zdążyła wyjść z pokoju, drzwi kuchenne otworzyły się nagle z impetem i stanął w nich Timmy. Zatrzymał się i oszołomiony, popatrzył na obecnych.

– Co się stało, Timmy? – spytał Rob. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Kto tam jest na górze?

– Nikogo na górze nie ma, kochanie – odparła Vicky. – Jesteśmy wszyscy w salonie.

– I lepiej niech tak będzie, do stu piorunów – zagrmiał Martin, podnosząc się z fotela. – Ostatnie, czego nam trzeba, to dzikich lokatorów.

– Widziałeś kogoś? – spytał Rob syna. – Jak wyglądał?

– Nikogo nie widziałem. Tylko ich słyszałem.

– A gdzie byli?

– W jednym pokoju, tam na końcu, koło tego kolorowego okna.

Martin odwrócił się do pozostałych.

– Mówi o witrażu – wyjaśnił, jakby nikt nie mógł się domyślić.

– Patrzyłem przez te kolorowe szybki i ogród zrobił się czerwony, a potem niebieski, a potem żółty.

– I wtedy ich usłyszałeś? Skąd wiesz, że to było kilka osób, a nie jedna? Rozmawiali?

Timmy pokiwał głową. Rob rzadko widywał go takiego poważnego, z rozszerzonymi oczami i tym kosmykiem włosów sterczącym z tyłu głowy.

– Słyszałeś, co mówili?

– Nie – odparł Timmy. – Nie mogłem dosłyszeć. Przyciskałem ucho do drzwi, ale oni tylko szepтали.

Martin odwrócił się do brata.

– Super! Chyba powinniśmy rzucić na to okiem, co, Rob?
Nie możemy tu tolerować nieproszonych gości!

• • •

Poszli razem na pierwsze piętro. Rob, który nie zaglądał tu od czasu, kiedy wyjechał na studia, zdążył zapomnieć, jak nisko wisi sufit, jak trzeszczą deski podłogowe i jak mocno korytarz pachnie dębowym drewnem, woskiem do polerowania oraz tynkiem zmieszany z końskim włosiem.

Od schodów biegly na piętrze dwa korytarze – jeden na wprost, prowadzący do trzech sypialni po lewej stronie i kończący się dużym witrażowym oknem. Drugi skręcał w prawo i stanowił przejście do pięciu pokoi oraz łazienki na samym końcu.

– Cały czas trudno mi uwierzyć, że nigdy więcej go nie zobaczymy – powiedział Rob, przystając na szczycie schodów. – Ciągłe mi się wydaje, że za chwilę usłyszę, jak wrzeszczy do nas z dołu, żebyśmy przestali robić ten cholerny hałas.

– Myślę, że wielu ludzi źle go oceniało – stwierdził Martin. – Miał dobre intencje. Jemu też w dzieciństwie nie było lekko.

– To, że nie było mu lekko w dzieciństwie, nie znaczy, że musiał się na nas odgrywać. Albo na mamie, niech Bóg ma ją w swej opiece.

– Chodźmy się przekonać, czy rzeczywiście mamy tu nieproszonych gości.

Ruszyli korytarzem w kierunku okna z witrażem. Martin otworzył drzwi do pierwszych dwóch sypialni. Ściany obydwu pokoi wyłożone były ciemną dębową boazerią, nieduże okna, podobnie jak w korytarzu, składały się z kolorowych, romboidalnych szybek – czerwonych, żółtych

i zielonych. Powietrze i światło wpadały do środka głównie przez okna w spadzistym dachu, obydwa pokryte mchem i ptasimi odchodami.

W żadnym z dwóch pierwszych pokoi nie znaleźli niczego podejrzanego; łóżka przykryte były spłowiałymi bawełnianymi narzutami, na stolikach nocnych stały zakurzone lampy.

– Ćśśś – syknął Martin, przykładając do ucha zwiniętą dłoń. – Słyszysz jakieś szepty?

Czekali w milczeniu, ich twarze tonęły w arlekinowych wzorach światła wpadającego przez kolorowe szyby.

Witraż przedstawiał Walkham Valley rozciągającą się pod granatowym niebem z młynówką płynącą przez łąkę. Nad rzeką stał odwrócony plecami nieprzeciętnie wysoki mężczyzna z rozpostartymi ramionami, ubrany w długi czarny płaszcz z podniesionym kołnierzem. Otaczały go kręgiem zjeżone czarne psy, stojące na tylnych łapach, z obnażonymi kłami i wywieszonymi czerwonymi jęzorami.

Według poprzedniego właściciela Allhallows Hall mężczyznę w czarnym płaszczu był Stary Diasek, jak w Dartmoor nazywano diabła. Wieść niesła, że w niektóre noce roku Stary Diasek dosiadał ogromnego czarnego konia i krążył ze sforą wściekłych psów po wrzosowiskach, polując na młode kobiety, które nie zdążyły wrócić do domu przed zmrokiem.

Niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie, witraż najwyraźniej wprawiono po to, aby przekonać Starego Diaska, że mieszkańcy domu darzą go szacunkiem, dzięki czemu miał nie węszyć w pobliżu, szukając dusz, które mogłby porwać, a szczególnie dusz tutejszych córek.

– Założę się, że Timmy słyszał tylko wiatr w kominach – powiedział Martin. – Albo rury. Kiedy przyjechalśmy, frontowe i tylne drzwi były zamknięte, a alarm

przeciwwłamaniowy włączony. Nie mam pojęcia, jakim cudem ktoś mógłby się dostać do środka.

– Nie ma wiatru – zauważył Rob. – A rury nigdy nie wydawały odgłosów przypominających szepty. Bardziej zarzynaną świnię.

Martin otworzył ostatnie drzwi. W trzecim pokoju nie było łóżka, stało tam tylko kilka zapasowych krzeseł, niektóre poukładane jedno na drugim, oraz stół do wina zastawiony zaśnieżonymi mosiężnymi świecznikami i kałamarzami, zasnutymi siecią zakurzonych pajęczyn.

Pod oknem stała dębowa ława z wiekiem na zawiasach, obciążonym popękaną zieloną skórą. Rob podszedł i podniósł wieko. W środku znajdowały się tylko sterty dokumentów, zwiniętych w rulony i przewiązanych spłowiałymi czerwonymi wstążeczkami.

– Widzisz? Nikogo tu nie ma. Wygląda na to, że tata też tu od dawna nie wchodził – rzucił Martin.

– No cóż, może rzeczywiście Timmy wyobraził sobie te głosy. Ma bujną fantazję. Wygrał szkolny konkurs za opowiadanie o zgniłym jajku, które zakochało się w pyskatej stonodze.

– Wdał się w ojca. Ciągle coś zmyśla.

Martin zamknął drzwi. Lecz gdy tylko ruszyli z powrotem, Rob usłyszał coś, co brzmiało jak natarczywie szepczący męski głos.

– Czekaj! Stój! Słyszysz to?

Jego brat zatrzymał się i nasłuchiwał.

– Nie. A co?

– Zdecydowanie ktoś szeptał.

Martin odczekał jeszcze chwilę.

– Nie – powtórzył w końcu. – Niczego nie słyszę.

– Serio, jestem pewien, że ktoś szeptał.

– A zrozumiałeś coś?

– Nie. Mówił za cicho. Ale brzmiało to... nie wiem... jakby... panikował.

– Och, przestań, Rob. Chyba obaj z Timmym złapaliście bakcyła allhallowsojczy. Pamiętasz tę starą babę, która mieszkała na farmie Wormold? Mówiła, że ten dom każdego może przyprawić o fiksum-dyrdum.

– Mówisz o starej pani Damerell? Sama była zdrowo szurnięta.

Z dołu dobiegło pukanie do drzwi frontowych.

– Przyjechała prawniczka – oznajmił Martin. – Chodź, przekonajmy się, co odziedziczyliśmy.

Rob ruszył za bratem na dół.

– Jak znam swoje szczęście, to mnie przypadnie bezgłowy cherubin.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).